

Twórca bestsellerowych thrillerów:
OFICERA I SZPIEGA, VATERLANDU i AUTORA WIDMO

ROBERT HARRIS

ENIGMA



ALBATROS

Tytuł oryginału:
ENIGMA

Copyright © Robert Harris 1995
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2021

Polish translation copyright © Andrzej Szulc 2002

Redaktor prowadzący: Marzena Wasilewska

Zdjęcie na okładce: ratpack223/Getty Images, Stefan Riedl/Unsplash

Projekt graficzny okładki: Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Cambridge w czwartym roku wojny: upiorne miasto.

Porywisty syberyjski wichur, którego siły nie osłabiła na przestrzeni ostatniego tysiąca kilometrów ani jedna przeszkoda, smagał Morze Północne i mokradła Fens. Wystukiwał hasła schronom przeciwniczym w Trinity New Court i tłukł o zabite deskami okna kaplicy King's College. Kręcił się po dziedzińcach i schodach, zatrzymując w domach nielicznych pozostałych na uczelni profesorów i studentów. Późnym popołudniem wąskie brukowane uliczki zupełnie się wyludniały. O zmierzchu, kiedy gasły wszelkie światła, uniwersytet pogrążał się w mroku, którego nie pamiętano tutaj od czasów średniowiecza. Gdyby w tym momencie przez most Magdaleny ruszyła ku Vespers procesja mnichów, wydawaliby się zupełnie na miejscu.

Wojenne zaciemnienie zatarło różnice między stuleciami.

Do tego właśnie niegościnnego miejsca na nizinie wschodniej Anglii przybył w połowie lutego 1943 roku młody matematyk, Thomas Jericho. Władze King's College uprzedzono o przyjeździe gościa kilka godzin wcześniej – ledwie starczyło czasu, żeby przewietrzyć jego pokoje, pościła łóżko i usunąć ponadtrzyletnią warstwę kurzu z półek i dywanu. Nie zadaliby sobie nawet tyle trudu – toczyła się wojna i nie było łatwo o służbę – gdyby do dziekana rezydującego w Master's Lodge nie zadzwonił tajemniczy,

lecz bardzo wysoko postawiony dygnitarz z Ministerstwa Spraw Zagranicznych Jego Królewskiej Mości z prośbą, aby „zaopiekowano się panem Jerichem do momentu, kiedy jego stan poprawi się na tyle, że będzie mógł powrócić do swoich obowiązków”.

– Naturalnie – odparł dziekan, który za nic w świecie nie potrafił przypomnieć sobie fizjonomii osobnika o nazwisku Jericho. – Naturalnie. Z radością przyjmiemy go z powrotem.

Mówiąc to, otworzył rejestr studentów i po chwili znalazł to, czego szukał: Jericho, T.R.G.; immatrykulowany 1935; bakalaureat z matematyki 1938; młodszy asystent z pensją dwustu funtów rocznie; nie pojawił się na uniwersytecie od wybuchu wojny.

Jericho? Jericho? Dla dziekana Jericho był co najwyżej mglistym wspomnieniem, zatartą w pamięci twarzą ze zbiorowej fotografii. Kiedyś nie musiałyby sobie zapewne łamać głowy, ale wojna zakłóciła dostojny rytm immatrykulacji i wręczania dyplomów i zapanował kompletny chaos – w Pitt Club mieściła się teraz British Restaurant, a w ogrodach St John’s rosły ziemniaki i cebula.

– Pan Jericho zajmował się w ostatnim czasie sprawami najwyższej wagi państwowej – kontynuował rozmówca. – Bylibyśmy wdzięczni, gdyby nikt mu nie przeszkadzał.

– Rozumiem – odparł dziekan. – Rozumiem. Dopilnuję, żeby zostawiono go w spokoju.

– Będziemy bardzo zobowiązani.

Dygnitarz odłożył słuchawkę. Sprawy najwyższej wagi państwowej. Mój Boże... Dziekan wiedział, co to oznacza. Przez dłuższą chwilę spoglądał z zadumą na telefon, a potem wyszedł poszukać kwestora.



Każde kolegium Cambridge jest małą wioską, odznaczającą się typowo wiejską skłonnością do plotek – która daje o sobie znać o wiele silniej, gdy wioska zamieszкана jest zaledwie w jednej dziesiątej – dlatego też powrót Thomasa Jericha stał się wkrótce przedmiotem wielogodzinnych narad wśród członków niższego

personelu.

Przed wszystkim zaskakujący był sam jego przyjazd – kilka godzin po telefonie do dziekana, w śnieżną noc, na tylnym siedzeniu państwowego rovera, prowadzonego przez młodą funkcjonariuszkę w granatowym mundurze Królewskiej Marynarki Wojennej. Odźwierny Kite chciał zanieść rzeczy gościa na górę, Jericho trzymał jednak kurczowo swoje obie poobijane skórzane walizki i nie pozwolił nikomu ich dotknąć, choć wydawał się tak wycieńczony, że Kite wątpił, czy uda mu się wspiąć bez czyjejs pomocy po spiralnych schodach.

Następna widziała go pokojowa, Dorothy Saxmundham, kiedy poszła nazajutrz rano posprzątać. Jericho siedział oparty o poduszki, wpatrując się w zacinający za oknem deszcz ze śniegiem, i ani razu nie odwrócił głowy; nawet na nią nie spojrział. Wyglądał, jakby w ogóle nie wiedział, że kobieta się tam krząta, biedactwo. Ale potem, kiedy chciała przesunąć jedną z walizek, zerwał się jak oparzony. – „Proszę tego nie dotykać, dziękuję pani bardzo, pani Sax, jeszcze raz dziękuję” – i po kilkunastu sekundach znalazła się z powrotem na korytarzu.

Przyjął tylko jednego gościa: uniwersyteckiego lekarza, który złożył mu dwie trwające po mniej więcej piętnaście minut wizyty i wyszedł, nie mówiąc nikomu ani słowa.

W pierwszym tygodniu Jericho spożywał wszystkie posiłki w pokoju, choć w gruncie rzeczy jadł bardzo niewiele, stwierdził pracujący w kuchni Oliver Bickerdyke, który trzy razy dziennie zanosił tacę na górę po to tylko, by po godzinie odebrać ją prawie nietkniętą. Największego odkrycia – które dało asumpt do trwających ponad godzinę spekulacji przy kuchennym piecu – dokonał Bickerdyke, zaskakując młodego człowieka przy biurku, w nałożonym na piżamę płaszczu, szaliku i rękawiczkach bez palców. Normalnie Jericho „nie wystawiał nosa z pomieszczenia”, to znaczy zamykał masywne drzwi do swojego gabinetu i wołał grzecznie, aby zostawić tacę na zewnątrz. Tego jednak konkretnego ranka, sześć dni po jego dramatycznym przyjeździe, były lekko uchylone.

Bickerdyke celowo tylko pogłaskał palcami drzwi – tak lekko, że nie zdołałaby go usłyszeć żadna żywa istota, z wyjątkiem być może pasącej się na stepie gazeli – po czym przekroczył próg i zanim Jericho odwrócił głowę, Bickerdyke znalazł się nie dalej niż metr od swojej ofiary. Zdążył zobaczyć plik kartek („pokrytych figurami, kółkami, greckimi literami i takimi tam...”), zaraz potem zapiski zostały jednak pośpiesznie zasłonięte ramieniem, a jego odesłano z powrotem do kuchni. Po tym incydencie drzwi pozostawały stale zamknięte.

Bickerdyke opowiedział o tym wszystkim nazajutrz po południu i Dorothy Saxmundham nie chciała okazać się gorsza. Pan Jericho ma mały gazowy kominek w salonie, oznajmiła, a także palenisko w sypialni. Na palenisku, które czyściła tego ranka, z całą pewnością spalił jakieś papiery.

Wszyscy trawili przez pewien czas w milczeniu tę nową informację.

– To mógł być „Times” – oświadczył w końcu Kite. – Codziennie rano wsuwam mu pod drzwi egzemplarz „Timesa”.

– Nie – odparła pani Sax. – To nie był „Times”. – Gazety wciąż leżały przy łóżku. – Z tego, co widziałam, chyba ich nie czyta. Rozwiązuje tylko krzyżówki.

Bickerdyke zasugerował, że Jericho pali listy.

– Pewnie miłosne – dodał, puszczając oko.

– Miłosne listy? On? Daj spokój. – Kite zdjął swój staroświecki melonik, przyjrzał się jego postrzępionemu rondu, po czym włożył go z powrotem na łusą głowę. – Poza tym od samego przyjazdu nie dostał żadnej pocztę. Ani jednego listu.

W końcu byli zmuszeni uznać, że Jericho pali w kominku zapiski dotyczące swojej pracy – pracy do tego stopnia utajnionej, że nikomu nie wolno było zobaczyć nawet odrzuconych szkiców. Z braku konkretnych faktów popuścili wodze fantazji. Jericho jest rządowym naukowcem, stwierdzili. Nie, pracuje w wywiadzie. Nie, nie... To geniusz. Doznał załamania nerwowego. Jego pobyt w Cambridge jest oficjalną tajemnicą. Ma wysoko postawionych

przyjaciół. Spotkał się z panem Churchillem. Spotkał się z królem.

Sprawiloby im na pewno wielką radość, gdyby odkryli, że wysuwając wszystkie te hipotezy, nie pomylili się w ani jednym punkcie.



Trzy dni później, wczesnym rankiem w piątek dwudziestego szóstego lutego, w kwestii tajemniczego gościa pojawiły się nowe informacje.

Sortując pierwszą poranną pocztę i wsuwając listy do nielicznych przegródek, których właściciele przebywali w college'u, Kite trafił nagle nie na jedną, ale aż na trzy koperty przeznaczone dla szanownego pana T.R.G. Jericha, wysłane do gospody Pod Białym Jeleniem w Shenley Church End w hrabstwie Buckingham i preadresowane do King's College. Przez chwilę Kite zupełnie nie wiedział, co ma o tym sądzić. Czy dziwny młody człowiek, któremu wymyślili tak egzotyczną tożsamość, był w rzeczywistości właścicielem pubu? Kite podniósł okulary na czoło, odsunął kopertę na długość ramienia i mrużąc oczy, przyjrzał się stemplowi poczty.

Bletchley.

Na tylnej ścianie portierni wisiała stara mapa kwaterymistrzowska, przedstawiająca gęsto zaludniony fragment południowej Anglii, ograniczony z trzech stron przez Cambridge, Oxford i Londyn. Bletchley usadowiło się na skrzyżowaniu linii kolejowych, dokładnie w połowie drogi między dwoma uniwersyteckimi miastami. Małe osiedle, Shenley Church End, leżało sześć kilometrów dalej na północny zachód.

Kite przyjrzał się dokładniej najbardziej interesującej z trzech kopert. Przysunął ją do swojego upstrzonego niebieskimi żyłkami bulwiastego nosa. Powąchał. Sortował pocztę od ponad czterdziestu lat i od pierwszego spojrzenia rozpoznawał kobiecy charakter pisma: wyraźniejszy i elegantszy, bardziej zaokrąglony i mniej kanciasty od męskiego. W stojącym na kuchence czajniku

gotowała się woda. Kite rozejrzał się. Brakowało jeszcze kilku minut do ósmej i na dworze było prawie zupełnie ciemno. Po paru sekundach znalazł się przy kuchence i przytknął skraj koperty do strumienia pary. Była zrobiona z lichego wojennego papieru, zaklejona tanim klejem. Skraj koperty szybko zwilgotniał, zwinął się i otworzył. Kite wyjął ze środka kartkę papieru.

Przeczytał ją prawie do końca, kiedy nagle dobiegł go odgłos otwieranych drzwi. Wiatr załomotał framugami. Kite wetknął kartkę z powrotem do koperty, umoczył mały palec w stojącym w pogotowiu przy kuchence słoiczku z klejem, zakleił list, po czym obrócił nonszalanckim gestem głowę, żeby zobaczyć, kto wszedł do portierni. O mało nie dostał zawału serca.

– Wszelki duch Pana Boga chwali... Dzień dobry, panie Jericho.

– Czy są może dla mnie jakieś listy, panie Kite? – Jericho miał całkiem donośny głos, ale stojąc w progu, zachwiał się lekko na nogach i oparł o biurko, niczym marynarz, który wrócił do domu z dalekiej podróży. Był blady i dość niski, z ciemnymi oczami i ciemnymi włosami, które podkreślały jego kredowobiałą karnację.

– Nie zwróciłem uwagi, proszę pana. Sprawdź jeszcze raz.

Kite wycofał się z godnością do wnęki i próbował wygładzić rękawem przekłętą kopertę. Była tylko lekko pognieciona. Wsadził ją między plik innych listów, wrócił do swego gościa i wykonał – przynajmniej we własnym mniemaniu – mistrzowską pantomimę, ponownie je przeszukując.

– Nie, nic nie ma. Chociaż zaraz, jest tu coś dla pana. Wspaniale. I jeszcze dwa inne listy. – Kite podał je przez biurko. – Obchodzi pan dzisiaj urodziny?

– Wczoraj.

Jericho włożył listy do kieszeni płaszcza, w ogóle na nie nie zerknąwszy.

– Zatem wszystkiego najlepszego. – Widząc, jak koperty znikają w kieszeni, Kite odetchnął cicho z ulgą. – Czy mogę zgadnąć, w jakim pan jest wieku? – zapytał, krzyżując ręce na piersi i pochylając się nad biurkiem. – Z tego, co pamiętam, zaczął

pan studia w trzydziestym piątym. To oznacza, że może pan mieć dwadzieścia sześć lat...

– Czy tam nie leży przypadkiem moja gazeta, panie Kite? Mogę ją zabrać. Zaoszczędzę panu fatygi.

Kite odchrząknął, wyprostował się i podniósł z biurka gazetę. Wręczając ją panu Jerichowi, próbował po raz ostatni nawiązać rozmowę; napomknął, że od zwycięstwa pod Stalingradem wojna w Rosji przybrała bardziej korzystny obrót i gdyby go ktoś pytał, to Hitlera można już spisać na straty, ale oczywiście pan Jericho jest w tej kwestii o wiele lepiej od niego zorientowany...? Młody człowiek lekko się uśmiechnął.

– Zważywszy na pańskie metody, wątpię, czy moja wiedza na jakikolwiek temat jest tak dokładna jak pańska, panie Kite. Nawet w tym, co dotyczy mnie osobiście.

Przez moment Kite miał wrażenie, że się przesłyszał. Zmierzył surowym wzrokiem Jericha, ten jednak odpowiedział mu śmiałym spojrzeniem. W jego ciemnobrązowych oczach zapaliły się nagle iskierki życia. A potem, wciąż się uśmiechając, Jericho pożyczył mu miłego dnia, wsadził gazetę pod pachę i zniknął. Kite obserwował go przez gotyckie okno portierni – szczupłą postać w uniwersyteckim purpurowo-białym szaliku, stawiającą niezbyt pewne kroki, z głową pochyloną pod wiatr.

– Moje metody? – mruknął pod nosem. – Moje metody?

Po południu, kiedy trio popijało jak zwykle herbatę przy kuchence, Kite był w stanie przedstawić zupełnie nowe powody, dla których pan Jericho znalazł się wśród nich. Nie mógł oczywiście wyjawić, jak wszedł w posiadanie tej informacji, zaznaczył więc jedynie, że pochodzi z wiarygodnego źródła (dał do zrozumienia, że odbył z facetem szczerą pogawędkę). Zapominając o wcześniejszym powątpiewaniu, z jakim przyjął uwagę o listach miłosnych, Kite oświadczył z przekonaniem, że młody człowiek doznał po prostu zawodu w miłości.

Jericho nie otworzył listów od razu. Pochylił się i kuląc ramiona przed wiatrem, ruszył wyłożoną płytami alejką w prawo, w stronę Junior Combination Room. Po spędzonym w zamknięciu tygodniu bogactwo bombardującego twarz tlenu przyprawiało go o zawrót głowy. Przeszedł przez mały garbaty mostek i minął stojący po lewej stronie budynek kolegium. Po prawej, za rozległym trawnikiem, wznosiła się masywna niczym skalne urwisko fasada kaplicy. Kilku chórzystów w powiewających na wietrze togach przemykało gęsiego tuż przy kamiennej ścianie.

Jericho zatrzymał się i nagły podmuch wichury zachwiał nim, zmuszając go do cofnięcia się o pół kroku. Z boku znajdowała się obrośnięta bluszczem brama budynku. Jericho zerknął z przyzwyczajenia na okna na pierwszym piętrze. Były ciemne i zasłonięte żaluzjami. Wokół nich też nikt nie przyszytył bluszczu i kilka niewielkich romboidalnych szybek całkiem zniknęło za bujnymi pędami.

Zawahał się, a potem wszedł do środka, pod mroczne sklepienie.

Klatka schodowa była dokładnie taka, jak ją zapamiętał, lecz całe skrzydło kolegium zamknięto i na dole leżały przywiane wiatrem zeschnięte liście. Stara gazeta owinęła mu się wokół nóg niczym łaszący się kocur. Wcisnął włącznik światła, ale rozległo się tylko bezradne pstryknięcie. W oprawce nie było żarówki. Mimo to zdołał odczytać jedno z trzech nazwisk widniejących na drewnianej tabliczce, wymalowane eleganckimi białymi literami, teraz spękany i wyblakły.

A.M. TURING

Pamiętał, jaki był stremowany, wspinając się po raz pierwszy po tych schodach – kiedy to było? latem 1938, wieki temu – żeby spotkać człowieka starszego od niego zaledwie o pięć lat, nieśmiałego jak student pierwszego roku, ze spadającą na oczy

ciemną czupryną: wielkiego Alana Turinga, autora pracy *O liczbach obliczalnych*, ojca Uniwersalnej Maszyny Liczącej.

Turing zapytał, jaki temat badań Jericho wybrał w pierwszym roku swojej asystentury.

- Teorię liczb pierwszych Riemanna.
- Ale przecież ja zajmuję się Riemannem.
- Wiem – odparł Jericho. – Dlatego właśnie go wybrałem.

Turing roześmiał się, słysząc tak bezczelny dowód uznania i choć nienawidził zajęć dydaktycznych, zgodził się być jego promotorem.

Stojąc teraz na korytarzu, Jericho przekręcił klamkę. Drzwi były oczywiście zamknięte. Kurz oblepił mu palce. Próbował przypomnieć sobie, jak wyglądał gabinet Turinga. Wszędzie rzucał się w oczy bałagan. Na podłodze leżały książki, notatki, listy, brudne ubrania, puste butelki i puszki z jedzeniem. Na półce nad gazowym kominkiem siedział pluszowy miś o imieniu Porgy, a w kącie stały sfatygowane skrzypce, które Turing kupił w sklepie ze starociami.

Turing był zbyt nieśmiały, by ktoś mógł się z nim zaprzyjaźnić. Zresztą od Bożego Narodzenia 1938 roku prawie nie widywało się go na uczelni. Odwoływał w ostatniej chwili spotkania, mówiąc, że wyjeżdża do Londynu. A czasami Jericho wchodził po tych schodach, pukał do drzwi i nie mógł się doczekać odpowiedzi, chociaż czuł, że ktoś jest w środku. Kiedy spotkali się w końcu koło Wielkanocy 1939 roku, niedługo po wejściu Niemców do Pragi, uznał, że powinien postawić sprawę bez owijania w bawełnę.

- Jeśli nie chce pan być moim promotorem...
- Nie o to chodzi.
- Albo jeśli rozwinął pan teorię Riemanna i nie chce pan dzielić się...

Turing uśmiechnął się.

- Mogę cię zapewnić, Tom, że jeśli idzie o Riemanna, nie posunąłem się ani o krok do przodu.
- W takim razie jaki jest powód?

– Nie chodzi o Riemanna – rzucił Turing. A po chwili dodał bardzo cicho: – Na świecie dzieją się teraz inne rzeczy, niekoniecznie związane z matematyką...

Dwa dni później Jericho znalazł w swojej przegródce zaproszenie. *Proszę wstąpić do mnie dzisiaj wieczorem na szklaneczkę sherry. F.J. Atwood.*

Ruszył z powrotem na dół. Nie czuł się najlepiej. Kurczowo się trzymał wyślizganej poręczy i stawiał powoli kroki niczym zgrzybiały starzec.

Atwood. Nikt nie odrzucał zaproszenia Atwooda – profesora historii starożytnej, piastującego stanowisko dziekana jeszcze przed urodzeniem Jericha – człowieka o rozległych kontaktach w sferach rządowych. List od niego był niczym wezwanie od samego Boga.

– Zna pan jakieś języki obce? – brzmiało pierwsze pytanie Atwooda, kiedy nalał im obu drinki. Samotny, oddany całym sercem uczelni, mógł mieć około pięćdziesiątki. Na półce za biurkiem stały wyeksponowane dumnie jego książki: *Sztuka wojenna Greków i Macedończyków, Cezar jako człowiek pióra, Tukidydes i jego dzieje.*

– Tylko niemiecki. – Jericho nauczył się tego języka, mając kilkanaście lat, żeby móc czytać wielkich dziewiętnastowiecznych matematyków: Gaussa, Kummera, Hilberta.

Atwood skinął głową. Wręczył mu kryształowy kieliszek z bardzo wytrawną sherry i pobiegł oczami za spojrzeniem Jericha przyglądającego się książkom.

– Czytał pan może Herodota? Zna pan historię Histiajosa?

Pytanie było retoryczne, podobnie jak większość pytań Atwooda.

– Histiajos chciał wysłać wiadomość z perskiego dworu do swego zięcia, tyrana Aristagorasa w Milecie, i zachęcić go do wszczęcia buntu. Bał się jednak, że list zostanie przechwycony. Ogolił więc głowę swego najbardziej zaufanego niewolnika, wytatuował wiadomość na jego czaszce, poczekał, aż odrosną mu włosy, i wysłał do Aristagorasa z prośbą, by ten kazał go ostrzec.

Rozwiązanie niezbyt pewne, w jego wypadku jednak skuteczne. Pańskie zdrowie.

Jericho odkrył później, że Atwood opowiadał te same anegdoty wszystkim naukowcom, których zwerbował. Po Histiajosie i ogolonym na pałę niewolniku przychodziła kolej na Polibiusza i jego szyfrowy kwadrat, potem zaś na list Cezara do Cyserona, gdzie „a” zaszyfrowane było jako „d”, „b” jako „e”, „c” jako „f” i tak dalej. Na koniec, wciąż krążąc wokół tematu, ale powoli zbliżając się do sedna, Atwood udzielał lekcji etymologii.

– Łacińskie *crypta*, z greckiego rdzenia *κρυπτη* oznaczającego „to, co ukryte, schowane”. Stąd krypta, miejsce, w którym chowa się zmarłych, i krypto, zamaskowany. Kryptokomunista, kryptofaszysta... Swoją drogą, nie jest pan żadnym z nich, prawda?

– Nie jestem również miejscem, w którym chowa się zmarłych.

– Kryptogram... – Atwood podniósł swoją sherry do światła i mrużąc oczy, przyjrzał się bladej cieczy. – Kryptoanaliza... Turing powiedział mi, że może się pan okazać cennym nabytkiem...



Po powrocie do swojej kwatery poczuł, że ma gorączkę. Zamknął drzwi na klucz i nie zdejmując płaszcza ani szalika, padł twarzą na niepościelone łóżko. Po jakimś czasie usłyszał kroki. Ktoś zapukał do drzwi.

– Śniadanie, proszę pana.

– Proszę zostawić na korytarzu. Dziękuję.

– Dobrze się pan czuje?

– Dobrze.

Usłyszał brzęk stawianej na podłodze tacy i kroki oddaliły się. Miał wrażenie, że pokój przechyla się i traci wszelkie proporcje; skraj sufitu zbliżył się nagle na wyciągnięcie ręki. Zamknął oczy i z ciemności przypląnęły do niego obrazy.

Uśmiechający się nieśmiało Turing: „Mogę cię zapewnić, Tom, że jeśli idzie o Riemanna, nie posunąłem się ani o krok do przodu...”.

Logie w Pawilonie Bomb, starający się przekrzyczeć łoskot maszynierii: „Właśnie dzwonił premier, żeby przekazać swoje gratulacje...”.

Claire, dotykająca jego policzka i szepcząca cicho: „Naprawdę założyłam ci za skórę, prawda, mój ty biedaku?”

„Odsuńcie się – męski głos, głos Logiego. – Odsuńcie się, dajcie mu odetchnąć świeżym powietrzem...”

A potem przestał słyszeć i widzieć cokolwiek.



Ocknąwszy się, spojrzał na zegarek. Był nieprzytomny przez mniej więcej godzinę. Usiadł i poklepał się po kieszeniach płaszcza. W jednej z nich trzymał notatnik, w którym zapisywał czas trwania każdego ataku oraz symptomy. Lista była przygnębiająco długa. Zamiast notatnika znalazł trzy koperty.

Rozłożył je na łóżku i przez chwilę się zastanawiał. Potem otworzył dwie pierwsze. W jednej była kartka od matki, w drugiej od ciotki. Obie życzyły mu wszystkiego najlepszego z okazji urodzin. Żadna z nich nie miała pojęcia, czym zajmuje się Jericho, i obie, wiedział o tym, były nieco zawiedzione, że nie paraduje w mundurze i nie dał się zestrzelić, jak większość synów ich przyjaciółek.

– Ale co mam powiedzieć ludziom? – zapytała go zdesperowana matka podczas którejś z krótkich wizyt w domu, kiedy po raz kolejny nie chciał wyjawiać, co robi.

– Powiedz im, że pracuję w łączności – odparł, używając formuлки, którą kazano im powtarzać, gdyby ktoś zadawał kłopotliwe pytania.

– A jeśli będą chcieli dowiedzieć się czegoś więcej?

– Ktoś, kto chce dowiedzieć się czegoś więcej, zachowuje się w sposób podejrzany i powinnaś od razu zawiadomić policję.

Postawiona przed perspektywą towarzyskiej katastrofy – widziała już, jak miejscowy inspektor przesłuchuje jej czwórkę od brydża – matka dała za wygraną.

A trzeci list? Podobnie jak Kite dwie godziny wcześniej, Jericho obrócił go w palcach i powąchał. Czy to jego wyobraźnia, czy rzeczywiście poczuł słaby zapach? Ashes of Roses firmy Bourjois, małeńka buteleczka, którą kupując miesiąc wcześniej, praktycznie się zrujnował. Wziął do ręki linijkę i otworzył kopertę. Wewnątrz była tania, wybrana bez zastanowienia kartka – spośród tylu możliwych rzeczy przedstawiała akurat paterę z owocami – i standardowe w tych okolicznościach słowa, takie przynajmniej odniósł wrażenie, nie będąc nigdy wcześniej w podobnej sytuacji. *Drogi T... zawsze będę uważać Cię za przyjaciela... być może w przyszłości... z przykrością dowiedziałam się... w pośpiechu... wyrazi miłości.* Jericho zamknął oczy.



Później, kiedy już rozwiązał krzyżówkę, kiedy pani Sax skończyła sprzątać, a pan Bickerdyke zostawił i po jakimś czasie zabrał nietkniętą tacę z kolejnym posiłkiem, Jericho ukląkł na podłodze, wyciągnął spod łóżka walizkę i otworzył ją. W środku pierwszego opublikowanego w 1930 roku przez Doubleday pełnego wydania Sherlocka Holmesa tkwiło sześć złożonych arkuszy papieru, pokrytych jego drobnym charakterem pisma. Położył je na rozchybotanym biurku przy oknie i wygładził.

Maszyna szyfrująca przetwarza otwarty tekst (P) w szyfr (Z) za pomocą funkcji f . Mamy zatem $Z=f(P,K)$, gdzie K oznacza klucz...

Zatemperował ołówek, zdmuchnął wióry i pochylił się nad biurkiem.

Przypuśćmy, że K ma N możliwych wartości. Dla każdego z założonych N musimy sprawdzić, czy $f^{-1}(Z,K)$ daje otwarty tekst; f^{-1} oznacza tu funkcję deszyfrującą, która daje P , jeśli K jest poprawny...

Wiatr zmarszczył powierzchnię rzeki. Flotylla kaczek kołysała się na falach niczym stojące na kotwicy statki. Jericho odłożył ołówek i przeczytał ponownie kartkę od Claire, próbując zmierzyć poziom emocji, odkryć sens ukryty w zdawkowych zwrotach. Czy można, zastanawiał się, skonstruować podobną formułę dla listów

– dla listów miłosnych bądź też listów sygnalizujących koniec miłości?

„Uczucie (S) kobieta przetwarza w list (M) za pomocą funkcji w. Mamy zatem $M=w(S,V)$, gdzie V oznacza użyte słownictwo. Przypuśćmy, że V ma N możliwych wartości...”

Symbole matematyczne rozplływały mu się przed oczami. Zabrał kartkę do sypialni, położył ją na palenisku, ukląkł i zapalił zapalną. Papier zapłonął na krótko, zwinął się w jego palcach i szybko zmienił w popiół.



Stopniowo jego dni przybrały stały porządek.

Wstawał wcześniej i pracował przez dwie albo trzy godziny. Nie zajmował się kryptoanalizą – spalił wszystkie notatki tego samego dnia, kiedy spalił kartkę – ale czystą matematyką. Potem ucinął sobie drzemkę. Przed lunchem rozwiązywał krzyżówkę w „Timesie”, mierząc czas starym kieszonkowym zegarkiem ojca – nigdy nie zajęło mu to dłużej niż pięć minut, a raz skończył w trzy minuty czterdzieści sekund. Udało mu się rozwiązać kilka skomplikowanych problemów szachowych – G.H. Hardy nazywał je „hymnami na cześć matematyki” – bez używania figur ani szachownicy. Wszystko to upewniło go, że jego umysł nie został na trwałe upośledzony.

Po krzyżówce i szachach czytał najnowsze wiadomości, usiłując jednocześnie przelknąć coś przy biurku. Starał się omijać informacje na temat Bitwy o Atlantyk (MARTWI LUDZIE PRZY WIOSŁACH: OFIARY U-BOOTÓW ZAMARZEY W ŁODZIACH RATUNKOWYCH), koncentrując się zamiast tego na froncie wschodnim: Pawłograd, Diemiansk, Rzew... Sowietci wydawali się co kilka godzin wyzwać kolejne nowe miasto i nie mógł powstrzymać uśmiechu, czytając o Dniu Armii Czerwonej, o którym w „Timesie” pisano z takim samym nabożeństwem jak o urodzinach króla.

Po południu wychodził na spacer; za każdym razem szedł

coraz dalej – z początku ograniczał się do terenu uczelni, potem przemierzał puste ulice Cambridge, w końcu wypuszczał się daleko za miasto. O zmierzchu wracał, żeby posiedzieć przy kominku i poczytać Sherlocka Holmesa. Zaczął chodzić na kolację do kantyny, odmawiał jednak grzecznie dziekanowi, kiedy ten zapraszał go do swego stołu. Jedzenie było tak samo niedobre jak w Bletchley, ale spożywało się je w miłszym otoczeniu – w blasku świec, w którym migotały portrety oprawne w ciężkie ramy i lśniły długie dębowe stoły. Nauczył się ignorować ciekawe spojrzenia personelu. Wszelkie próby nawiązania rozmowy ucinął skinieniem głowy. Samotność wcale mu nie doskwierała. Przez całe życie był samotny. Samotny jako jednak, jako pasierb, jako „genialne dziecko” – zawsze było coś, co odróżniało go od innych. Kiedyś nie mógł rozmawiać o swojej pracy, ponieważ mało kto go rozumiał. Teraz nie mógł o niej mówić, ponieważ była tajna. W gruncie rzeczy sprowadzało się to do tego samego.

Pod koniec drugiego tygodnia zaczął w nocy normalnie spać – luksus, na który nie był w stanie sobie pozwolić od dwóch lat.

Rekin, Enigma, pocałunek, bomba, rozbiór, fant, drop, bryk – powoli wykreślał ze świadomości całe to dziwaczne słownictwo, w które obfitowało jego sekretne życie. To dziwne, ale odpływała od niego nawet twarz Claire. Zdarzały mu się jeszcze wyraźne przebłyski, zwłaszcza w nocy – cytrynowy zapach świeżo umytych włosów, szeroko otwarte, jasne jak woda, szare oczy, jej cichy na pół rozbawiony, na pół znudzony głos – ale coraz trudniej było zlepić z tych części całość. Całość znikła.

Napisał do matki, prosząc ją, żeby go nie odwiedzała.

– Czas jest najlepszym lekarzem – powtarzał doktor, zatrzaskując swoją torbę z cudownymi miksturami. – Czas jest najlepszym lekarzem, proszę pana.

Ze zdumieniem Jericho stwierdzał, że staruszek ma chyba rację. Wracał do zdrowia. „Wyczerpanie nerwowe”, czy jakkolwiek uznali za stosowne to nazwać, nie było jednak tym samym co szaleństwo.

A potem, bez żadnego ostrzeżenia, w piątek dwunastego marca

złożyli mu wizytę.



Poprzedniego wieczoru usłyszał przypadkiem starszego profesora, który krytykował pomysł budowy nowej amerykańskiej bazy lotniczej na wschód od miasta.

– Czy zdajecie sobie sprawę, pytałem ich, że stoicie w miejscu, w którym znajdują się skamieliny z epoki plejstocenu? Że osobiście odkopałem tutaj mózdzienie *Bos primigenius*? Facet tylko się roześmiał w odpowiedzi.

Nieglupi jankes, pomyślał Jericho, i wtedy właśnie postanowił, że wybierze się tam podczas swojego popołudniowego spaceru. Ponieważ baza leżała jakieś pięć kilometrów dalej, niż odważył się dotąd dotrzeć, wyszedł wcześniej niż zwykle, zaraz po lunchu.

Minął szybko Backs, Wren Library, cukrowe wieże St John's, boisko, na którym ponad dwudziestu chłopców ubranych w purpurowe koszulki grało w piłkę nożną, po czym skręcił w lewo, w Madingley Road. Po dziesięciu minutach znalazł się w szczerym polu.

Kite przepowiedział z ponurą miną opady śniegu, ale wciąż ścisnął mróz, dzień był słoneczny, a niebo przepiękne – rozpościerający się nad płaskim pejzażem wschodniej Anglii wspaniały czysty błękit, nakrapiany srebrnymi plamkami samolotów i poprzecinany białymi kreskami gazów odrzutowych. Przed wojną prawie co tydzień jeździł tutaj na rowerze i rzadko kiedy trafił się jakiś samochód. Teraz mijały go bez przerwy, zmuszając do zejścia na pobocze, kryte plandekami amerykańskie ciężarówki, bardziej okazałe, szybsze i nowocześniejsze od ciężarówek armii brytyjskiej. Z mroku wychylały się białe twarze amerykańskich żołnierzy. Czasami Amerykanie krzyczeli i machali do niego rękami, a on odwzajemniał sztywno ich gest, czując się absurdalnie angielski i skrepowany.

W końcu dotarł do miejsca, z którego widać było nową bazę, i stojąc na poboczu, obserwował z oddali trzy startujące jedna

po drugiej, Latające Fortece – wielkie maszyny, zbyt ciężkie, wydawałoby się, aby oderwać się od ziemi. Toczyły się po świeżo zbudowanym pasie startowym, rycząc głośno i łapiąc się drobin powietrza, aż w końcu pojawiał się pod nimi rąbek światła, który poszerzał się, w miarę jak wzbijały się coraz wyżej.

Stał tam prawie pół godziny, czując w powietrzu wibrację silników i wdychając zapach lotniczej benzyny. Nigdy jeszcze nie widział takiej demonstracji siły. Skamieliny z plejstocenu, pomyślał ze złośliwą satysfakcją, musiały się już dawno obrócić w proch. Jak brzmiało to powiedzenie Cycerona, które Atwood tak lubił cytować? *Nervos belli, pecuniam infinitam*. Machina wojenna, wielkie pieniądze.

Spojrzał na zegarek i uświadomił sobie, że jeśli chce dotrzeć do King's College przed zmierzchem, powinien ruszać z powrotem.

Po przejściu mniej więcej półtora kilometra usłyszał za sobą warkot silnika. Jeep, który go wyprzedził, skręcił na pobocze i zatrzymał się. Okutany w ciepły płaszcz kierowca podniósł się z siedzenia i pomachał do niego.

- Hej, ty! Podwieźć cię?
- Byłbym bardzo wdzięczny. Dziękuję.
- Wskakuj.

Amerykanin nie miał ochoty na pogaduszki, co całkiem odpowiadało Jerichowi. Trzymając się skraju siedzenia, patrzył prosto przed siebie. Po kilku minutach wjechali z dużą szybkością do miasta. Kierowca wysadził go na tyłach uczelni, pomachał na pożegnanie, dodał gazu i zniknął. Jericho popatrzył za nim, a potem odwrócił się i wszedł przez bramę.

Przed wojną ten mierzący trzysta metrów odcinek był o tej porze dnia i o tej porze roku ulubionym miejscem jego spacerów: przecinająca dywan fioletowych i żółtych krokusów alejka, wytarte kamienne płyty, ozdobne wiktoriańskie latarnie, wieże kaplicy z lewej i światła kolegium z prawej strony. Ale teraz krokusy spóźniały się, latarni nie zapalano od 1939 roku, a słynny widok kaplicy został oszpecony postawionym tuż obok zbiornikiem

wody. W całym kolegium światło paliło się tylko w jednym oknie i podchodząc bliżej, zdał sobie sprawę, że to u niego.

Zatrzymał się i zamarł w bezruchu. Czyżby zostawił zapaloną lampę na biurku? Był pewien, że tego nie zrobił. Wpatrując się w okno, zobaczył jakiś cień, jakiś ruch, jakąś postać, która pojawiła się w jasnożółtym kwadracie. Dwie sekundy później światło zapaliło się w jego sypialni.

To chyba niemożliwe?

Puścił się biegiem. W pół minuty pokonał dystans dzielący go od budynku i wbiegł na pierwsze piętro niczym sportowiec. Ciężkie buty zastukały o kamienną posadzkę.

– Claire?! – zawołał. – Claire?!

Drzwi do mieszkania były otwarte.

– Spokojnie, stary – odezwał się męski głos w środku. – Bo sobie zrobisz jakąś krzywdę.

3

Guy Logie był wysokim, chudym jak patyk mężczyzną, dziesięć lat starszym od Toma. Leżał wyciągnięty na sofie, trzymając długie ręce złożone na brzuchu i opierając kark na jednej, a kościste łydki na drugiej poręczy. Z fajki, którą trzymał w zębach, unosiły się kółka dymu. Pęczniejące aureole wędrowały pod sufit, przechylały się, łamały i roztopiały w srebrzystej mgiele. Na widok Jericha Logie wyjął fajkę z ust i ziewnął od ucha do ucha, udając, że nie może się powstrzymać.

– O Boże. Przepraszam – powiedział, otwierając oczy i siadając na sofie. – Cześć, Tom.

– Och, proszę. Nie musisz wstawać. Naprawdę czuj się jak u siebie w domu. Może chcesz się napić herbaty?

– Herbaty? Wspaniały pomysł. – Logie uczył przed wojną matematyki w dużej starej szkole publicznej. Grał świetnie w rugby i hokeja, a ironia odbijała się od niego niczym kamyki od szarżującego nosorożca. Przeszedł przez pokój i złapał Jericha za

ramiona. – Pozwól, że ci się przyjrzę, stary – powiedział, obracając go do światła. – Niech mnie kule biją. Wyglądasz jak z krzyża zdjęty.

Jericho wyswobodził się z uścisku.

– Czułem się już całkiem dobrze, dopóki się nie pojawiłeś.

– Przepraszam. Zapukaliśmy grzecznie do drzwi. Wpuścił nas twój portier.

– Nas?

Z sypialni dobiegł jakiś hałas.

– Przyjechaliśmy samochodem z flagą na masce. Twój pan Kite o mało nie padł z wrażenia. – Logie spojrzał w ślad za Jerichem na drzwi do sypialni. – O niego ci chodzi? To pan Leveret. Nie zwracaj na niego uwagi. Pan pozwoli tutaj, panie Leveret! – zawołał, wyjmując z ust fajkę. – Przedstawię panu pana Jericha. Sławnego pana Jericha.

Na progu sypialni pojawił się niski człowieczek z wychudłą twarzą, ubrany w płaszcz przeciwdeszczowy i filcowy kapelusz.

– Dobry wieczór – powiedział. Miał lekko północny akcent.

– Co pan, do diabła, robi w mojej sypialni?

– Sprawdziałem tylko, czy jest pan sam – odparł słodkim tonem Leveret.

– Oczywiście, że jestem sam, do jasnej cholery!

– Czy cała klatka schodowa jest pusta, proszę pana? – zapytał Leveret. – Nikogo nie ma w pokojach na dole albo na górze?

Jericho podniósł zniecierpliwionym gestem rękę.

– Guy, na litość boską!

– Moim zdaniem teren jest czysty – zwrócił się Leveret do Logiego. – Zaciągnąłem już zasłony w sypialni. Nie będzie panu przeszkadzało, jeśli tutaj zrobię to samo? – zapytał Jericha. Nie czekając na pozwolenie, podszedł do małego okna, otworzył je, zdjął kapelusz, wystawił głowę na zewnątrz i rozejrzał się na wszystkie strony. Znad rzeki sunęła lodowata mgiełka i pokój wypełniło mroźne powietrze. Usatysfakcjonowany Leveret cofnął głowę, zamknął okno i zaciągnął zasłony.

Przez piętnaście sekund nikt się nie odzywał.

– Nie dałoby się zapalić w kominku, Tom? – zapytał Logie, przerywając milczenie. – Zapomniałem już, jak tu paskudnie w zimie. Gorzej niż w szkole. I co z tą herbatą? Wspomniałeś coś o herbacie. Napiłby się pan herbaty, panie Leveret?

– Z największą przyjemnością.

– Może przygotowałbyś nam po grzance? Zauważyłem, że masz trochę chleba w kuchni. Grzanka przy uczelnianym kominku... Wyobrażasz sobie? To przypomni nam stare dobre czasy.

Jericho przez chwilę mu się przyglądał. Otworzył usta, żeby zaprotestować, ale potem zmienił zdanie. Wziął pudełko zapalek z kominka, zapalił jedną z nich i przytknął do palnika. Ciśnienie było jak zwykle za niskie i zapalka zgasała. Zapalił kolejną i tym razem się udało. Z palnika wypełził błękitny robak ognia i zaczął się rozszerzać. Jericho przeszedł do kuchni, nalał wody do czajnika i postawił go na kuchence. W pojemniku na pieczywo rzeczywiście był chleb – pani Saxmundham musiała zostawić go wcześniej w ciągu tygodnia. W kredensie znalazł leżący na wyszczerbionym talerzyku kawałek margaryny i przedwojenny słoik z dżemem, który prezentował się całkiem nieźle, kiedy Jericho zdjął z powierzchni biały kożuch pleśni. Ukroił trzy szare kromki, umieścił swoje smakołyki na tacy i spojrzał na czajnik.

Może to wszystko mu się przyśniło? Ale kiedy zerknął z powrotem do salonu, Logie znowu rozłożył się na sofie, a Leveret przycupnął niezdarnie na skraju krzesła, trzymając w dłoni kapelusz, niczym przekupiony świadek, który ma wygłosić w sądzie słabo przygotowane zeznanie.

Oczywiście mieli dla niego złe wiadomości. Cóż innego mogli mu przekazać prócz złych wiadomości? Kierownik Pawilonu Ósmego nie tłukłby się osiemdziesiąt kilometrów w drogocennym samochodzie zastępcy dyrektora, żeby złożyć mu wizytę towarzyską. Chcą go wywalić. „Przykro mi, stary, ale nie możemy brać na pokład pasażerów...” Jericho poczuł się nagle bardzo zmęczony. Potarł czoło wierzchem dłoni. Wraciał znajomy ból głowy, pulsujący od

zatok aż do oczodołów.

Myślał, że to ona. Niezły żart. Przez mniej więcej pół minuty, biegnąc ku oświetlonemu oknu, był szczęśliwy. Jakie to żałosne.

Woda w czajniku zaczęła się gotować. Otworzył puszkę z herbatą, ale listki rozsypały się z biegiem czasu w proch. Nie przejmując się tym, wsypał je do dzbanka i zalał wrzątkiem.

Logie uznał to za nektar.



Siedzieli potem w półmroku, nie odzywając się do siebie. Jedyne oświetlenie dawała stojąca na biurku za ich plecami lampa i błękitny płomień na kominku u ich stóp. Gaz syczał cicho. Zza zasłon dobiegał jednostajny szum ulewy i żałosne kwakanie kaczki. Logie usiadł na podłodze, wyciągnął swoje długie nogi i majstrował przy fajce. Jericho rozparł się w jednym z dwóch foteli i roztargnionym gestem dziobał dywan widelcem do grzanek. Leveret stał na straży na zewnątrz. „Czy mógłbyś zamknąć drzwi, stary? Wewnętrzne i zewnętrzne, jeśli ci to nie przeszkadza”.

W pokoju unosił się ciepły zapach grzanek. Talerze stały odsunięte na bok.

– Naprawdę bardzo tu przytulnie – mruknął Logie. Zapalił zapałkę i cień stojących na kominku bibelotów padł na zagrzybioną ścianę. – Biorąc pod uwagę, gdzie można wylądować, człowiek cieszy się, że trafił do Bletchley Park, ale ta ich monotonia może czasami wpędzić w depresję. Nie sądzisz?

– Chyba tak. – Przejdź wreszcie do sedna, pomyślał Jericho, dziobiąc okruszki. Wręcz mi wypowiedzenie i jedź.

Logie wsadził fajkę do ust i kilka razy z lubością zacmokał.

– Wszyscy strasznie się o ciebie martwiliśmy, Tom – powiedział cicho. – Mam nadzieję, że nie poczułeś się odstawiony na boczny tor.

Zaskoczony i upokorzony niespodziewanym przejawem troski, Jericho poczuł, jak wilgotnieją mu oczy. Nie odrywał wzroku od dywanu.

– Obawiam się, że zrobiłem z siebie straszego idiotę, Guy. Najgorsze jest to, że właściwie nie bardzo pamiętam, co zaszło. Cały tamten tydzień widzę jak przez mgłę.

Logie machnął fajką lekceważącym gestem.

– Nie ty pierwszy straciłeś tam zdrowie, stary. Czytałeś w „Timesie” o biednym Dillym Knoxie? Zmarł w zeszłym tygodniu. Dali mu w końcu medal. Nic specjalnego: chyba Order Świętego Michała i Świętego Jerzego. Uparł się, żeby odebrać go osobiście w domu, siedząc na krześle. Dwa dni później się przekręcił. Rak. Okropność. A potem ta sprawa z Jeffreysem. Pamiętasz Jeffreysa?

– Wysłali go do Cambridge, żeby wyzdrowiał. Tak jak mnie.

– No właśnie. Wiesz, co się z nim stało?

– Umarł.

– Zgadza się. Szkoda człowieka. – Logie wykonał kilka kolejnych fachowych czynności przy swojej fajce, ugniatając tytoń i zapalając następną zapalstkę.

Nie pozwól tylko, żeby zatrudnili cię w administracji, modlił się Jericho. Albo w dziale kadr. Claire opowiadała mu, że w dziale kadr pracował facet, który zmuszał dziewczyny, żeby siadały mu na kolanach, jeśli chciały dostać pokój z łazienką.

– To Rekin, prawda? – zapytał Logie, przyglądając mu się bacznie przez obłok dymu. – Załatwił cię Rekin?

– Tak. Chyba tak. Można tak powiedzieć.

Rekin załatwił prawie nas wszystkich, pomyślał Jericho.

– Ale dałeś sobie z nim radę. Pokonałeś Rekina.

– Nie ująłbym tego w ten sposób. Pokonaliśmy go razem.

– Nie. To ty go pokonałeś. – Logie zgasił trzymaną w długich palcach zapalstkę. – Ty go pokonałeś. A potem on pokonał ciebie.

Jericho przypomniał sobie nagle rozgwieżdżoną zimną noc i skrzywienie lodu. I siebie samego pedaującego na rowerze.

– Może powiedziałbyś mi wreszcie, o co chodzi, Guy? – odezwał się nagle poirytowany. – To znaczy, przyjemnie jest posiedzieć przy kominku i napić się herbaty, ale...

– Chodzi właśnie o to, stary. – Logie podciągnął kolana pod

brodę i objął nogi rękami. – Rekin, Pijawka, Delfin, Ostryga, Morświn, Małż. Sześć małych rybek w naszym akwarium, sześć zestawów kluczy Enigmy, używanych przez niemiecką marynarkę. A najważniejszy z nich wszystkich jest Rekin. – Spojrzał prosto w ogień i Jericho miał po raz pierwszy okazję przyjrzeć się dobrze jego twarzy. W niebieskim świetle przypominała trupią czaszkę, zamiast oczu widać było dwie ciemne plamy. Wyglądał jak człowiek, który od tygodnia nie zmrużył oka. Ponownie ziewnął. – Jadąc tu samochodem, próbowałem przypomnieć sobie, kto pierwszy wpadł na pomysł, żeby nazwać go Rekinem.

– Nie pamiętam – rzucił Jericho. – Wydaje mi się, że to był Alan. A może ja. Tak czy owak, jakie to ma, do diabła, znaczenie? Nazwa sama się nasuwała. Nikt się nie sprzeciwił. Od razu widać było, że to prawdziwy potwór.

– Był nim – przytaknął Logie, pykając z fajki. Powoli zniknął w obłoku dymu. Tani wojenny tytoń śmierdzący spaloną sianem. – I jest nim w dalszym ciągu.

Ton, jakim wypowiedział te ostatnie słowa – lekkie wahanie – kazał Tomowi podnieść wzrok.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).